MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY
KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIX NR 15 (nr. 14 skonfiskowano) WARSZAWA 2 KWIETNIA 1939 R CENA NUMERU 80 GR

BŁĘDY FRANCJI NA WSCHODZIE EUROPY

I

JEŻELI przyjmiemy, że dobra robota polityczna jest taka, która idzie po linii naturalnych kierunków rozwojowych danego okresu, która organizuje siły dziejowe, przetwarzając je z czynników żywiołowych na czynniki świadomości i woli, to przyjść będziemy musieli do wniosku, że polityka Francji na wschodzie Europy po wojnie światowej nie odpowiadała tym warunkom i wobec tego była daleką od doskonałości.

Postępowanie Francji w tym obszarze świata odznaczało się szczególną chwiejnością, dorywczością, brakiem linii, brakiem głębszej myśli i charakteru. Francja powersalska, briandowska, nie liczyła się, ani chciała liczyć z rzeczywistością stosunków w Europie wschodniej i środkowo-wschodniej i na ich kształtowanie się wywierała najczęściej wpływ hamujący, o ile nie wsteczny i rozkładowy.

Przyczyny tego leżały w ogólnem, fałszywem nastawieniu polityki francuskiej po wielkiej wojnie.

Głównym błędem polityki Francji powojennej było zbyt ścisłe związanie, czy wprost „utożsamienie się" jej z systemem Ligi Narodów, pomyślanym przez twórców tej ostatniej jako namiastka („*Ersatz*") tradycyjnego systemu równowagi europejskiej. Twór genewski zbudowany na fałszywem założeniu, że może istnieć polityka apolityczna (!) — bo ten nieszczery, wykrętny absurd stanowi istotę ligowej „umowy społecznej"— nie wytrzymał próby życia w warunkach naturalnej gry sił, t. j. po wyłamaniu się Niemiec z rygorów traktatowych, i zachwiał się od podstaw przy pierwszym „wstrząsie" europejskim, jakim była sprawa Abisynii w r. 1935/36.

Drugi, wielki błąd Francji, błąd szczególnie nie do darowania w tym kraju myśli logicznej i prostej konstrukcji, polegał na pomieszaniu pojęć i ich kategoryj i stosowaniu niewłaściwych kryteriów przy ocenie zjawisk. Pomieszano przesłanki polityki wewnętrznej z wewnętrzno-politycznemi; do spraw zagranicznych zastosowano miarę celowości wewnętrznej, partyjnej, koteryjnej, mafijnej; nieporozumienia i intrygi domowe starano się przeszczepić na grunt europejski. Jasna, zwarta, przejrzysta myśl twórcza Focha, Weyganda i Poincarégo musiała ustąpić przed fantastycznem „celtyckiem" rozchełstaniem myślowem, przed wybujałością niekontrolowanego temperamentu i brakiem odpowiedzialności moralnej Brianda, przed „polityką tajnych celów" Herriota, przed semicką insolencją Leona Bluma. Wykładnikiem tego upadku myśli politycznej stała się — w fazie początkowej — polityka „rozbrojenia moralnego" poczęta z ducha Locarna (r. 1926), która znalazła zwolenników i poza granicami Francji, w porze zaś późniejszej — polityka interwencji prorewolucyjnej.

Czy można dziwić się, że bilans powojennego dwudziestolecia zamyka się dla Francji poważnym niedoborem, na który składa się długi szereg załamań, klęsk i rezygnacyj? Innego wyniku być nie mogło przy tej polityce, jaką uprawiała Francja po wojnie, i jaka w równym stopniu była sprzeczna z interesami Francji, co Europy jako całości geograficzno-cywilizacyjnej.

Nie jest dziełem przypadku, że w Hiszpanii Francja postawiła na „czerwonego konia", który okazał się złym koniem. Francja obecna z reguły stawia na „czerwone konie" i zawsze te „czerwone konie" są bite. Takie teraz czasy, że „czerwone" przegrywa, lecz Francja dzisiejsza nie chce się z tą regułą pogodzić.

II

Francja błądziła jednak nietylko ideologicznie. Błędy ideowe byłyby jeszcze stosunkowo łatwe do odrobienia. Niestety zło sięgnęło głębiej, bo w istotę geopolityczną stosunków.

Jeżeli pominąć państwa mniejsze, zwłaszcza nowe jak Litwa, Łotwa i t. d., to na wschód od Rzeszy niemieckiej widzimy dziś (jak 200, 500 i 1000 lat temu) dwie wielkie, tradycyjne formacje historyczne, kulturalne, etniczne i polityczne: Polskę — „państwo środka" Europy i Ruś (w znaczeniu najszerszem) — państwo wschodu. Przy nich państwa mniejsze tego obszaru odgrywają rolę formacyj przejściowych, granicznych, „buforowych" i dlatego mogą być pominięte w rozważaniach.

Otóż, skoro historia i geografia, etnografia i wola państwowotwórcza ludności zgodne są co do tego, że w tej części Europy jest miejsce na dwa zasadnicze ośrodki i układy krystalizacji państwowej, a nie na jeden, i że oba te układy są równorzędne, to ślepą byłaby ta polityka, która by tego nie chciała widzieć. Francja tymczasem — mówimy o Francji dzisiejszej, „oficjalnej" — postępuje tak, jakby nie była pewna, czy aby istotnie historia nie pobłądziła, stwarzając na wschód od Niemiec aż dwa (!) wielkie organizmy narodowo-państwowe zamiast — co byłoby chyba bardziej „logiczne" — jednego. Stąd niezdecydowanie, któremu Francja współczesna dawała wyraz niejednokrotnie w ciągu ubiegłego dwudziestolecia, co do wielkości i miejsca w Europie, i jej znaczenia w systemie politycznym Francji. Brak jasnej koncepcji w sprawie Polski już raz — za Napoleona I — wiele kosztował Francję, lecz, jak się okazuje, bolesna nauka historii nie na wiele się przydała. Wielki (aczkolwiek nie nieomylny) organizator Europy sam uznał swą pomyłkę co do podrzędnej roli, jaką wyznaczył Polsce w Europie po pokoju tylżyckim 1807 r., stwierdzając poniewczasie, że Polska winna była być „zwornikiem sklepienia europejskiego". Coprawda ten ostatni pogląd nie został nigdy sprawdzony przez życie, o jego więc wartości praktycznej trudno cokolwiek powiedzieć. Psychologicznie tłomaczy się on załamaniem się wiary Napoleona w możliwość współpracy Francji z Rosją i rozgoryczeniem na cesarza Aleksandra. I tu więc mamy Polskę widzianą przez pryzmat Rosji. Tym razem jest to Polska wielka, pojęta „maksymalistycznie", lecz, podobnie jak w wypadku Polski „minimalistycznej" urzeczywistnionej w Ks. Warszawskiem, pozostająca w zależności „funkcjonalnej" od Rosji. Jest wiecznie tym księżycem, który świeci — słabiej lub mocniej — blaskiem słońca — Rosji.

Podobny charakter, treść i barwę psychologiczną posiada motyw polski w problematyce polityki Francji współczesnej. Polska jest tu przede wszystkiem wartością zastępczą, mającą dla Francji znaczenie tylko w tym stopniu, w jakim ta ostatnia może zrezygnować z Rosji, względnie — w jakim Polska da się „utożsamić" z Rosją.

III

Okres rezygnacji z Rosji (wobec sojuszu sowiecko-niemieckiego w Rapallo z 16.IV.1922) w polityce francuskiej dał Polsce uznanie jej granic wschodnich przez wielkie mocarstwa sprzymierzone (16.III.1923) wraz z ostatecznem pogrzebaniem poprzednio wciąż podnoszonej sprawy „autonomii" Galicji Wschodniej. Okres zbliżenia polsko-sowieckiego 1931 — 33, które mogło uchodzić w oczach Francji za objaw „utożsamiania się" polityki Polski i Rosji Sow. — był również okresem efektownych zwycięstw polskich na Zachodzie, w Paryżu i Genewie.

Odwrotnie — lata 1934—35, które były okresem niezwykle aktywnej polityki francucko-sowieckiej zwróconej ostrzem przeciwko Niemcom Hitlera, zaznaczyły się, zwłaszcza w czasie rokowań o europejski pakt wzajemnej pomocy, przykremi zgrzytami w stosunkach polsko-francuskich. Z chwilą zaś gdy Polska oparła się naciskowi Barthou, usiłującego pozyskać ją dla idei „bezpieczeństwa zbiorowego", czyli gdy, innemi słowy, rozminęły się wyraźnie drogi Polski i Rosji Sowieckiej, Francja oparła cały swój system polityczny na najściślejszej współpracy z tą właśnie Sowiecką Rosją i z uzależnioną od tej ostatniej Czechosłowacją.

Po kapitulacji franko-brytyjskiej w Monachium (29.IX.1938) i arbitrażu włosko-niemieckim w Wiedniu (2.XI.1938) Francja zmuszona została przez sam bieg wypadków do wyrzeczenia się bardziej czynnej postawy do zagadnień Wschodu europejskiego, t. j. przede wszystkiem zagadnień wynikających z wzajemnego stosunku sił Rosji i Polski.

Ten stan rzeczy — dzisiaj już, być może, niezupełnie aktualny — teoretycznie mógłby ulec zmianie bardziej zasadniczej tylko w wypadku „utożsamienia się" polityk: rosyjskiej (sowieckiej) i polskiej. Równałoby się to — z punktu widzenia Francji — znakomitemu „uproszczeniu" sytuacji na wschód od Niemieć, gdzie zamiast dwu elementów (Rosja i Polska) byłby tylko jeden (Rosja — Polska). Ku zadowoleniu dyplomacji francuskiej Polska wreszcie by się znalazła w „systemie wschodnim" i Francja mogłaby zacząć myśleć poważnie — pomimo Monachium i Wiednia — o stworzeniu wielkiej zapory przeciwniemieckiej (i „przeciwfaszystowskiej") od Bałtyku do m. Czarnego.

Lecz wszystko to, co przed chwilą powiedzieliśmy, opiera się na nierealnem, sprzecznem z historią, geografią i zdrowym rozsądkiem, założeniu, że Polska mogłaby przystać dobrowolnie na trwałe włączenie jej do systemu wschodnio-europejskiego t. j. rosyjskiego (a dziś, co więcej, bolszewickiego). Polska, gdy tak wypadnie z oceny jej interesów, może wchodzić w porozumienie ze swymi wielkimi sąsiadami zarówno z zachodu jak ze wschodu, nigdy jednak porozumienia takie nie mogą być ani narzucone jej zzewnątrz, ani zbyt daleko idące, gdyż siłą rzeczy doprowadzić by ją musiały do utraty osobowości.

Korzystne niewątpliwie dla Francji i upragnione przez nią „uproszczenie" sytuacji politycznej na wschód od Niemiec mogłoby stać się realne jedynie w zależności od uprzedniego spełnienia dwóch warunków: 1) uznania przez Francję całkowitej równorzędności i równowartości Polski i Rosji jako mocarstw środka i wschodu Europy, 2) uzdrowienia Rosji pod względem moralnym, kulturalnym, narodowym i materialnym, przywrócenia jej do godności państwa cywilizacyjnego.

Obie te sprawy przerastają jednak w tej

chwili siły i możliwości objektywne Francji. Błędy ideopolityczne i geopolityczne popełnione przez Francję w ciągu lat dwudziestu (od pokoju w Wersalu do kapitulacji w Monachium) odsuwają od niej możność wywierania czynnego, bezpośredniego i stanowczego wpływu na sprawy Wschodu europejskiego.

X. X.

PIERWSZY WSZECHPOLAK

W 350-TĄ ROCZNICĘ ŚMIERCI MARCINA KROMERA

ZUPEŁNIE śmiało za takiego możemy uważać historyka, biskupa warmińskiego Marcina Kromera. Mąż to był twardy, mocny i nieustępliwy. Otrzymawszy biskupstwo warmińskie, prawie całe swoje życie jest zmuszony o to biskupstwo ze swoją kurią walczyć. Kanonicy i prałaci — prusacy chcą go do biskupstwa najpierw jako sufragana, a potem jako ordynariusza niedopuścić a następnie zmusić do ustąpienia, ponieważ nie jest Warmiakiem. Kromer im odpowiada i mocno podkreśla, iż jako urodzony w Polsce jest całej Polski obywatelem. To co Dmowski z trudem wbijał w umysły polskie w wieku XX, to Kromer już głosił w XVI.

Właśnie 23 marca w roku bież. przypada 350-letnia rocznica śmierci nieustraszonego bojownika o katolicyzm i polskość na Warmii i tego roku jego rodzinne miasto Biecz pszygotowuje się do uroczystego uczczenia tej daty.

Kromer chociaż pochodził z rodziny mieszczańskiej i miał brata piwowara, jednak szlachectwo otrzymał polskie i niemieckie. Herbem jego polskim były trzy gwiazdy, zaś cesarz Ferdynand dodaje mu barwy Habsburgów czerwoną wstęgę na białym tle (!?) i orła austriackiego na hełmie.

Sam Kromer tak ten herb opisał. Pochodził ze spolszczonej rodziny niemieckiej, mieszczan bieckich. Wytykają mu to Warmiacy — zarzucając pochodzenie niemieckie, jeno dodają, że nie wiedzą z jakich stron Niemiec.

Nazwisko prawdopodobnie pierwotnie brzmiało Krämer, gdyż sam biskup, zakładając dla swego brata Bartłomieja na Warmii wioskę pod Wartenburgiem — nazywa ją Kromerowo albo Krämersdorf. Z bieckich przodków Kromera znamy dziadka Bartłomieja i babkę herbu Osmoróg z Binarowej, ojca Grzegorza i matkę Agnieszkę Czermińską herbu Jastrzębiec, również z Binarowej.

Prawdopodobnie ci sami Czermińscy do dzisiaj pod Bieczem mieszkają jako rodzina włościańska. Z rodzeństwa Marcin był najstarszy. Młodszy brat Jędrzej umarł młodo. Mikołaj był księdzem. Siostra Natalia wyszła za mąż za mieszczanina bieckiego Aurzfabera i zmarła młodo, zaś najstarszy po Marcinie, Bartłomiej objął majątek. Z tym Bartłomiejem miał biskup dość kłopotu, bo był to pijaczyna i obżartuch, którego starał się biskup zabrać ze sobą na Warmię, a gdy tenże wyjechał z Biecza urosła tam gadka, że przez to mięso i wino w Bieczu potaniało. Syn Bartłomieja, był kanonikiem Frauenburskim na Warmii. Zmarł w roku 1705. Jeszcze druga gałąź Kromerów od roku 1418 do 1430 przebywała w Bardyjowie na Węgrzech. Data urodzenia Kromera 1512, dzień nie zanotowany. Proboszczem w Bieczu zostaje w roku 1542. Mianuje go biskup Gamrat. Umiera 23 marca 1589 w Heilsbergu na Warmii.

Słynął wieloraką działalnością. Jako katolik gorliwy i surowy dla siebie i innych. Gromi, choć biskupa Gamrata protegowany, rozluźnienia obyczajów duchowieństwa i jest filarem restauracji katolickiej. Obok Hozjusza pracuje, a potem kończy jego dzieło odrodzenia katolicyzmu i zgnębienia innowierstwa. Jako historyk znakomity w polemice i krytyce, rozsławia imię polskie zagranicą. Jako polityk słabszy, lecz otrzymuje propozycje od cesarza przejścia na jego służbę. Odrzuca jednak proponowane biskupstwo wiedeńskie, wraz z podszeptami cesarza. Jako patriota jest pierwszym Wszechpolakiem, bo nie daje się Prusakom wysadzić z biskupstwa „jako obcy", udowadniając, że rodzony w Polsce jest całej Polski obywatelem. Śmiały i odważny. Nie pada plackiem przed szlachtą, lecz udawadnia, że nietylko herb jest siedliskiem cnoty. Należy też podkreślić, że Kromer pierwszy zwraca uwagę na ropę naftową pod Bieczem nazywając ją „witryolej", albo „koperwas". Nazwa „witryolej", „witrok" do dzisiaj w okolicy Biecza jest znana.

Według podania dziejopisarz Marcin Kromer, *secretarius regis* miał ujrzeć światło dzienne w Bieczu, w piętrowym domu murowanym obok fary zwanym do dzisiaj „Kromerówką", a w której nad drzwiami pod tynkiem odkryto jakieś litery i znaki czarne, w których można się domyśleć gotyckich inicjałów ojca biskupa. Rodzina z dawna w Bieczu osiadła, bo już dziadek Bartłomiej i ojciec Grzegorz byli to *viri consulares*, a więc rajcy miejscy, a rodzina szeroko rozrodzona, bo jak mówi uszkodzona tablica grobowa, niedawno odnaleziona i w kaplicy Kromera wmurowana, poświęcona ona była pamięci dwóch stryjów biskupa, Marcinowi i Mikołajowi.

Sokołowski Marian jednak twierdzi w aneksach do studiów do historii rzeźby w Polsce w XV i XVI wieku, że Marcin Kromer urodził się właściwie w Binarowej, wsi pod Bieczem.

Wracając do domu Kromera — dzisiejszej „Kromerówki" to są jednak i pewne wątpliwości czy rzeczywiście do niego należał, bo w dokumencie z roku 1555 król Zygmunt August przywilejem uwalnia dom Kromera od podatków, jednak go określa jako położony na rogu rynku ku kościołowi *(in acie circuli)*. A więc dom ten raczej stał w tym rzędzie co i dom Becza — jeno z drugiego końca tego szeregu — chyba, że rynkiem nazwiemy przestrzeń leżącą pomiędzy oboma szeregami domów, a otwartą ku farze, zajętą dzisiaj przez mieszczańskie ogródki. Wtedy „Kromerówka" rzeczywiście będzie „*in acie circuli*".— Ten *circulus* — czyli nazwijmy go mały rynek, w przeciwstawieniu do dużego był nawet brukowany jak świadczy bruk znaleziony o ogrodzie „Kromerówki".

Dom odnawiany był parę lat temu przez właścicielkę swoją Czytelnię ludową. Obdarto go z tynku i wielokrotnych pobieleń. Są to właściwie dwa wąskie średniowieczne domki razem zlepione. Starszy od strony Fary i nowszy lecz lichszy od wschodu. Mury grube pełne zamurowanych nyż. Pokoiki wąskie, długie, sklepione beczkowato z lunetami. Sklepienia jednak nie wszędzie się dochowały, bo groziły zawaleniem i zdjęto je. Ślady od ulicy wskazują, że dom w tym kierunku był dłuższy, lecz go przy regulacji obcięto, ścianę frontową doń przylepiając. Przed domem na ulicy odkopano resztę filarów, a więc dom miał podcienia. Wejście było rzeźbione renesansowo. W jednej salce na piętrze dochowały się pięknie rzeźbione odrzwia w kamieniu, krasno polichromowane z datą i uszaki okien również rzeźbione z ciekawemi maskaronami. Może biskup miał między nimi ołtarzyk.

Oczywiście, że taka wspaniała postać mieszczanina bieckiego, uczonego, polityka, statysty i działacza katolickiego, nie powstała w Bieczu nagle. Wykwitła ona tle ruchu umysłowego i naukowego, który w Bieczu miał swoje siedlisko. Już w roku 1383 jest wspomniana w aktach *„platea versus scholas"* więc Biecz już wtedy nie był Abderą. Profesor Antoni Karbowiak mówi w swoich dziejach wychowania i szkół w Polsce strona 38 i 39: „Miasto to utrzymywało niewątpliwie przy kościele parafialnym szkołę, wysłało przecież w latach 1434 do 1510 na studia wyższe do Krakowa poważny zastęp młodzieży bo 43. Wobec tego, iż rzesza wyjeżdżających nie urywa się później, możemy przypuścić, iż szkoła była trwałą. W roku 1528 znajdujemy już w aktach zapis na budowę szkoły: 2 grzywny, uczynione przez niejakiego Kaspra z Ołpin. Było to 26/4, zaś 30/5 otrzymano od Marcina Samborczyka altarzysty 7 grzywien *a conto* 10, które na szkołę legował *honorabilis dominus* Jakobus de Schirzing, 15/11 od pana Buczyńskiego z Olszyn 6 i pół grzywny. Załączony jest nawet szczegółowy wykaz kosztów ile dano na cement, wapno, murarzom, pomocnikom „Theopilowi" *ad pinguendum ambos clipeos alias* szyldów, cieślom na ankry, ceglarzowi na piwo, kowalom i t. d.

W roku 1553 Marcin Samborczyk za zezwoleniem Zygmunta Augusta daje na zakupienie rocznego czynszu dla szkoły bieckiej na Blichu lub w młynie bieckim 200 grzywien, co da rocznie 10 grzywien czynszu. Zapis ten nie bez wpływu Marcina Kromera uczyniony, bo i on jako świadek na akcie podpisany. W roku 1569 Kromer daje mieszczanom kwotę 400 grzywien na odbudowanie wieży przy pretorium. Nie żąda by mu je oddano, jeno chce by mieszczanie potem kwotę dali na studentów z Biecza pochodzących. Fundacja też taka została utworzona. Wreszcie nieznany ofiarodawca czyni zapis na szkołę pod tytułem *„Pecuniae scholasticae seu centorianae pro locato schole fundo"*.

Wydatki na szkołę tę zaczynają się w aktach w roku 1546 i długi czas utrzymują się na poziomie około 30 grzywien rocznie. Oczywiście była to szkoła łacińska z pomocniczym językiem niemieckim, gdyż Kromer w roku 1577 listownie nakłania mieszczan, by w szkole zaprowadzili język polski.

Odpowiadają mu odmownie, chociaż uniżenie, a trzeba wiedzieć jakie on miał znaczenie w Bieczu. Widocznie Niemcy trzymali się jeszcze mocno swojego języka, a język polski zwolna się do miasta wciskał. Do kościoła św. Barbary wszedł w roku 1473, przed ołtarz św. Stanisława u fary w 1546, a w roku 1561 polacy już mają swojego kaznodzieję. Charakterystyczna jest odpowiedź mieszczan Kromerowi, że nie odczuwają potrzeby uczyć się po polsku, bo w urzędach używa się łaciny, a jeno ze służbą mówi się po polsku. Uniwersytet krakowski miał w Bieczu swoją filię. Prawodopodobnie do tej filii odnosiły się słowa Fuska Wilhelma, który opowiadał nie wiadomo na czem się opierając, że obok kościoła św. Piotra istniała jakaś wyższa szkoła, której fundusze poszły na konfederację Barską. Może to właśnie była ta filia.

Do ruchu umysłowego w Bieczu odnosi się też dokument, który streszcza prof. Bujak z roku 1565 datowany 18 albo 20 marca z Piotrkowa na sejmię. Zygmunt król Polski zawiadamia rajców miasta Biecza, że na sejmie w Piotrkowie w sprawie pomiędzy księdzem Wojciechem Pruszkowskim plebanem bieckim, a Janem Krepel, Adamem Krawcem, Szymonem i Józefem Szewcem, Kasprem de Drewno sukiennikiem, obywatelami bieckimi, wydał wyrok zakazujący tym obywatelom praktykować nowacji i obrzędów, czy to publicznie, czy prywatnie, przechowywać kapłanów podejrzanych co do religii katolickiej i uczęszczać na *„contiones novatorum"* i to natychmiast do dni trzech pod karą proskrypcji i konfiskaty majątku, a nadto nakazuje rajcom ten wyrok we wszystkich szczegółach wykonać pod karą 200 dukatów.

Nagłówek kopii: *„Mandatum de non ferendis haereticis in civitate Biecensis"*.

Luteranizm szerzył się już w 1529, bo starają się o dobrego kaznodzieję Niemca, by mu tamę położyć. Był czas kiedy arianizm bardzo się w Bieczu plenił. Niema się czemu dziwić, bo przecie Zakliczyn, Melsztyn, sądeckie siedziby arian były blisko. Gorliwym arianem był Jan Bonar kasztelan biecki (1557). Szerniawski powiada nie wiem na jakiej podstawie, że zbór swój mieli we wsi Grudnej, ale im go rzeka podmyła i zabrała. Specjalnie też dla walki z arianami sprowadzony został do Biecza zakon OO. Reformatów.

O potrzebach umysłowych mieszczan bieckich świadczy inwetarz biblioteki aptekarza ówczesnego Daniela Mariana Rokickiego z roku 1606. Są tam wymienione polskie książki ariańskie, bez autora, zaś ilość książek w tej bibliotece jest tak (81) duża, i treść tak wszechstronna, że ten aptekarz mówiący o sobie skromnie „ja biedny rzemieślnik" dla ówczesnego poziomu umysłowego Biecza jest budującym przykładem. — Jako sam aptekarz muszę stwierdzić, że i dzisiaj żadna apteka podobnej biblioteki by się nie powstydziła.

Marcin Kromer więc w tak kulturalnym środowisku wyrósł, jest tego środowiska owocem i świadectwem.

Biecz WITOLD FUSEK

TEATR NA ZIEMIACH POŁUDNIOWO-WSCHODNICH

PODOLE i Pokucie, nieszczęsne ziemie ustawicznych politycznych eksperymentów, żyjące od nie tak dawna towarem importowanym, poczynają coraz donioślej głosić autarkię kulturalną. Powstają nowe placówki naukowe, jak ostatnio Zakład Naukowy im. W. Baworowskiego w Tarnopolu, muzea regionalne i t. p., stając do szlachetnego wyścigu z innemi dzielnicami Polski. Mimo zgubnych wahań w zakresie zagadnień politycznych, Małopolska Wschodnia rozpoczęła nową fazę walki o polskość i wiekuistą przynależność do Rzeczypospolitej. Ruszono do ofensywy i na polu kulturalnym. Młody ruch naukowy na Podolu i Pokuciu chwali się już realnemi wynikami. Ale o tych rzeczach może innym razem; narazie chcemy podać garść informacyj o polskim teatrze na ziemiach południowo-wschodnich.

Teatr polski, dobrze postawiony, o celowo ułożonym repertuarze, ma tu duże pole do działania. Prawdziwą orkę na ugorze. Potrzeba bowiem lśniącym lemieszem gorejącego słowa polskiego przeorywać zarosłe zielskiem niedbalstwa ugory polskiej rzeczywistości kresowej. W teren językowo mieszany, gdzie krzyżują się wpływy języka polskiego, ruskiego i żydowskiego, dając w wyniku bastarda skażonej kresowej wymowy, potrzeba wnosić czysty i nieskalany dźwięk mowy rodzinnej.

Stanisławów rozporządza od lat kilkunastu dobrze prosperującym teatrem stałym, pod dyrekcją p. Zuzanny Łozińskiej. Tarnopol, stolica Podole, nie może na razie marzyć o własnym teatrze. Musi się więc zapożyczać u Stanisławowa. Kulturalną i rozrywkową rolę pełniły tu do niedawna zespoły amatorskie miejscowe lub teatry wędrowne, przybywające z Krakowa lub Warszawy, w najlepszym razie kilka razy do roku. Stan taki był oczywiście niewystarczający.

Trudnej roli stałego dostarczania widowisk scenicznych utrzymanych na wysokim poziomie artystycznym i fachowym społeczeństwu kresowemu podjął się wspomniany teatr zawodowy w Stanisławowie. Przeszedł on dosyć ciekawą ewolucję w obrębie lat kilkunastu. Jako teatr zawodowy rozpoczął swą działalność w r. 1933 w Stanisławowie pod nazwą „Wojewódzkiego". Obsługiwał wtedy miasto i województwo stanisławowskie. Wkrótce rozszerzył zasięg działania na teren województwa tarnopolskiego, zmieniając nazwę na „Teatr polsko-pokucki". Jako taki zdobył sobie uznanie i dużą popularność. Władze wojewódzkie i samorządowe, oceniając należycie znaczenie polskiego teatru na kresach wschodnich, poparły instytucję stałymi, aczkolwiek skromnemi i nie wystarczającemi narazie, subwencjami, dając w ten sposób omawianemu terenowi mniej więcej dwa przedstawienia w miesiącu.

Przedstawienia „Dziadów" Mickiewicza i „Erosa i Psyche" Żuławskiego z doskonałą obsadą ról dały początek nowemu okresowi w życiu kulturalnem Podola. Specjalną rubrykę w działalności teatru p. dyr. Łozińskiej wypełniły przedstawienia popołudniowe, przeznaczone przedewszystkiem dla młodzieży szkolnej. A jest dla kogo przedstawiać: 10 zakładów typu średniego liczy sobie 40-tysięczny Tarnopol! Na repertuar tych t. zw. popołudniówek złożyły się sztuki najwybitniejszych pisarzy dramatycznych swoich i obcych. Dzięki temu przedstawienia popołudniowe cieszą się dużą frekwencją zarówno młodzieży szkolnej jak i starszych.

W ostatnim roku (1938) teatr nasz przekroczył dotychczasową granicę dwóch województw, wchodząc na teren województwa lwowskiego a nawet paru miast woj. krakowskiego, przyjmując ostatecznie nazwę dzisiejszą „Teatru Małopolskiego".

Pracę swą prowadzi teatr w dwóch zespołach, które objeżdżają obecnie 80 miast i miasteczek czterech województw południowo-wschodnich. W danej miejscowości teatr daje dwa przedstawienia dziennie: popołudniówkę i wieczorne.

Mimo niesłychanie trudnych warunków pracy natury technicznej (mieszkanie i przygotowanie się do przedstawień często w wagonie kolejowym) i finansowej (mimo, skromnych zresztą, subwencji stały niedobór) Teatr Małopolski wypełnia dzielnie swe niełatwe a szlachetne zadanie. W wielu miasteczkach prowincjonalnych panują warunki bardzo prymitywne, a więc mała pojemność sal, brak pieców na scenie i w garderobie, oświetlenie naftowe i t. p.

Frekwencja w małych miastach i miasteczkach, tam zwłaszcza gdzie nie ma kina, jest wcale dobra, gorzej jest nieco w miastach większych, ale i w nich na brak widzów teatr skarżyć się nie może. Liczebność widzów zależy w dużej mierze od charakteru sztuki dawanej. W ostatnich czasach zauważyć się daje coraz większy odpływ publiczności ze sztuk poważnych, klasycznych, a większe zainteresowanie dla rzeczy lekkich, niewybrednych. Triumfy święci lekka współczesna komedia francuska. Kierownictwo teatru, mając na uwadze swoje kłopoty finansowe, idzie za gustem przeciętnej publiczności i daje rzeczy bardzo lekkie, a nawet frywolne. Trudno, taki wieszcz, jaki słuchacz! Jednakże objaw ten należy uznać za nienormalny. Teatr polski na kresach ma bowiem specjalne zadania. Słusznie też ze sfer katolickich tutejszego społeczeństwa podniosły się głosy oburzenia, ostrej krytyki i protestu. W ogniu polemiki, prowadzonej na łamach regionalnego tygodnika „Głos Polski", wychodzącego w Tarnopolu, padły słowa o sarmatyźmie, zacofaniu i zaściankowości pod adresem tych, którzy postawili rzecz z punktu widzenia narodowego i katolickiego. Dziwne doprawdy, że obrońcy haseł postępu w sensie masońsko-liberalnym przymykają oczy na oczywisty fakt nowego postępu, opartego o światopogląd narodowo-katolicki.

Podkreślić jeszcze potrzeba rzecz jedną. Ludność ruska i żydowska bojkotuje teatr polski,

chętnie widząc swoje teatry wędrowne. Na przestrzeni bowiem trzech województw południowowschodnich działają aż cztery teatry ruskie czyli „ukraińskie" i trzy żydowskie, stale objeżdżające teren. Siedmiu zatem teatrom mniejszościowym przeciwstawia się bohatersko jedyny teatr polski. Ponieważ zaś małe ośrodki dysponują najczęściej tylko jedną salą, wynajmowaną przy tem na przedstawienia kinowe i na przedstawienia przez teatry mniejszościowe, kierownictwo naszego teatru ma zatem dużo przeszkód do zwalczania.

Mimo to wszystko praca teatru p. Łozińskiej, doskonałej — dodajmy — i lubianej powszechnie artystki scenicznej, cieszy się pięknymi wynikami. Parę cyfr może najlepiej rzecz naświetlić: w czasie swej pracy objazdowej od r. 1933/34 do r. 1937/8 teatr dał 1058 przedstawień w Stanisławowie a 2450 na prowincji w 83 miastach i miasteczkach. W obecnym sezonie t. j. od 1/9 do 31/12 1938 r. dano przedstawień objazdowych 378! Cyfry te są doskonałą ilustracją kolosalnego wysiłku ze strony kierownictwa i personelu naszego teatru.

Tarnopol FRANCISZEK MACHALSKI

HISTORIE Z TYSIĄCA I JEDNEJ NOCY

BLISKO trzydzieści lat temu napisałem pod pseudonimem Rusticus książkę pod tytułem „Listy z dworu wiejskiego", na którą złożył się szereg fejletonów, drukowanych w „Gazecie Warszawskiej". W pierwszych rozdziałach książki zastanawiałem się nad dziwnem zjawiskiem nieznajomości życia wiejskiego w sferach mieszkańców miast i doszedłem do wniosku, że jednym z głównych powodów tej ignorancji było fałszywe oświetlenie stosunków wiejskich w rodzimej beletrystyce i w sztukach teatralnych. Już wtedy rozróżniałem dwa rodzaje literatury wiejskiej, jednej poświęconej opisom bytu warstw ludowych, a drugiej — mieszkańcom dworów czyli t. zw. światowi ziemiańskiemu. Pierwsza stała zawsze na wysokim poziomie, szczycąc się autorami tej miary co Bolesław Prus, Dygasiński, Wł. Reymont, później Wł. Orkan i wielu innych, natomiast druga, opisująca życie dworu wiejskiego była, z zastrzeżeniem oczywiście kilku znakomitych wyjątków, zarówno w powieściach jak i w komediach, zabarwiona bądź tendencyjnemi uprzedzeniami, bądź przesadną i fałszywą karykaturą, świadczącą o zupełnej nieznajomości warunków, w jakich żyli i działali mieszkańcy dworów wiejskich.

Dziś, przebiegając myślą ten okres ubiegłych lat widzę niestety, że w dziedzinie twórczości powieściowej nic nie zmieniło się na lepsze, a może nawet jest gorzej, niż dawniej bywało. Świetnemu rozwojowi literatury ludowej, reprezentowanej przez plejadę młodych autorów, synów ludu, znakomicie orientujących się w stosunkach wsi chłopskiej, towarzyszy wprost zadziwiająca nieudolność w opisach środowisk ziemiańskich, mająca swe źródło w tych samych co dawniej brakach kompozycji, obserwacji, a przede wszystkiem nieznajomości przedmiotu studiów.

Stwierdzając ten niewątpliwy zastój i nie mogąc pogodzić się z faktem, że w tej jednej dziedzinie życia powieść może być wolna od reguły hołdowania prawdzie, stanowiącej wszędzie i zawsze jeden z głównych dogmatów twórczości, pragnę rozważyć przyczyny tego dziwnego zjawiska. W toku mych uwag, przytaczając przykłady lekceważenia prawdy życiowej, unikam świadomie cytowania nazwisk autorów i tytułów powieści, ponieważ, nie będąc zawodowym krytykiem literackim, nie mam prawa dawać im jakichkolwiek pouczeń, a również dlatego, że nie chcę sprowadzać dyskusji na tory osobistych polemik.

Gdy w słynnej powieści Lwa Tołstoja księżna Dolly Obłońska wybiera się w odwiedziny do Anny Kareniny, przebywającej w miejscowości odległej o 70 wiorst od siedziby szwagra Dolly Lewina, ożenionego z jej siostrą księżniczką Kitty Szczerbacką, to dla odbycia tej długiej podróży musi korzystać z udzielonego jej przez Lewina ekwipażu. Zajeżdża więc po księżnę stara landara, zaprzężona w czwórkę roboczych koni w nieco połatanych zaprzęgach, a na koźle, obok woźnicy, siedzi pisarczyk, dodany jako opiekun samotnej kobiety w razie jakiegoś nieprzewidzanego wypadku w drodze.

Wszystkie te dość drobiazgowo opisane przez wielkiego powieściopisarza akcesoria tchną istotną, życiową prawdą. Każdy człowiek na wsi urodzony czy wychowany, bez względu na to czy to będzie wieś rosyjska czy polska, wie dobrze, że tak właśnie odbywają się dalekie podróże końmi, zwłaszcza w ówczesnych warunkach komunikacyjnych, t. j. około 1870 roku. Powyższy fragment z „Anny Kareniny" uwidacznia dobitnie różnicę pomiędzy gruntownym znawcą życia dworu wiejskiego, jakim był Tołstoj, odtwarzającym je z nieporównanym artyzmem w najdrobniejszych szczegółach, a wielu polskimi powieściopisarzami, którzy, nie mając pojęcia o charakterze, typach i obyczajach inteligencji wiejskiej, opisują je w sposób fałszywy i karykaturalny, nie oglądając się na prawdę życiową. I rzecz szczególna, największy nakład bujnej wyobraźni stwierdzamy w opisach lokomocji konnej. Obszarnicy, a zwłaszcza arystokracja z reguły nie jeżdżą zwykłemi końmi, lecz jakiemiś ognistemi smokami. To też w powieści polskiej wyjazd księżnej Dolly odbył by się w błyszczącej karecie, wybitej białym atłasem (patrz „Przedwiośnie"), ciągnionej przez czwórkę szalonych arabów, ubranych w świecące od bronzów zaprzęgi i z dwoma wygalowanymi drabami na koźle.

Gdyby zaufać wyobraźni wielu naszych autorów, to konie przedstawiają się im w postaci bestyj apokaliptycznych lub szlachetnych rumaków i bachmatów, wspinających się dęba, nieznoszących wędzidła i zawsze pędzących z wichrami w zawody. Pary czy czwórki podobnych karoszów, siwoszów lub gniadoszów (są to terminy powieściowe, których nikt w praktyce nie używa) parskają pianą lub grzebią kopytami ziemię zarówno przed kolumnami pałaców, jak i przed filarkami skromnych dworów, i gdyby nie Mateusz

czy Walenty, mocarną dłonią osadzający je w miejscu, rozbiłyby w drzazgi każdy pojazd wraz z jadącymi w nim pasażerami.

Ten fałsz w jednej z dziedzin życia wiejskiego, od którego nie są wolni nawet pisarze tak wielkiej miary jak Żeromski, panuje i w opisach codziennego bytu mieszkańców dworów, grzesząc przesadą w dwóch biegunowo przeciwnych kierukach. Czasem typy ziemian są zanadto ordynarne i umysłowo ograniczone, a ich osiedla odznaczają się brakiem wszelkich cech, znamionujących kulturę, to znów mieszkają w zbytkownie urządzonych pałacach, pędzą życie beztroskie, zaspakajając najbardziej wyrafinowane zachcianki, na które czerpią pełną dłonią środki ze swoich olbrzymich obszarów.

Ostatnia kategoria przeważa oczywiście w powieściach tendencyjnych, usiłujących przekonać czytelników, że w obszarnikach tkwi główna przyczyna wszelkich społecznych niedomagań, że więc należy zetrzeć ich z powierzchni ziemi, jako warstwę pasorzytniczą i szkodliwą z punktu widzenia dobra szerokich mas narodu. Tu przynajmniej cele powieści są jasne i zrozumiałe. Natomiast trudno zrozumieć dlaczego pisarze pozbawieni wszelkich tendencji anty-ziemiańskich nie mogą się wyzwolić z hypnozy fałszywych barw, której ulegli nawet tak wielcy artyści, jak Wł. Reymont. Naprzykład w jego powieści „Lili" dwaj aktorzy sprzedający bilety na przedstawienie, znalazłszy się w rezydencji jakiejś pomniejszej hrabiny przechodzą przez amfiladę salonów z piętrowemi kolumami marmurowemi, ze wspaniałemi obrazami na ścianach stiukowych i dochodzą do oranżerii, w której z marmurowego basenu wytryskuje pióropusz wody, a ponadto u sufitu papugi kołyszą się na złotych obręczach, zaś małpa baraszkuje z charcikiem.

Gdym przed laty, utrzymując bliższe stosunki z Reymontem, spytał go skąd wziął tak egzotyczną wizję, to przyznał się, że była to jedna z pierwszych jego powieści, gdy nie znał prawdziwego życia dworów wiejskich, a ten przepych był mu potrzebny dla kontrastu z opisywaną nędzą aktorską. Reymont, znajdujący się wówczas u szczytu sławy pisarskiej, mógł się zdobyć na szczere wyznanie swych początkowych usterek, ale rzesza innych pisarzy, niedorastających mu do kolan tkwiła uparcie w swoich błędach i bezkarnie puszcza wodze fantazji, tworząc według utartych szablonów. Nie mówimy tu rzecz prosta o wyjątkach nawet dość licznych, t. j. o autorach naprawdę znających wieś i odczuwających tętno życia dworów ziemiańskich.

Niestety jest ich za mało w porównaniu z liczną falangą pseudo-twórców, zapełniających fejletony dzienników i rozpowszechniających w szerokich sferach czytelników najfałszywsze pojęcie o bytowaniu inteligencji wiejskiej na prowincji, o jej stosunku do innych warstw społecznych, słowem o prawdziwem obliczu pałaców, dworów i dworków. Ignorancja autorów w tej dziedzinie występuje nieraz w tak jaskrawych barwach, że wprost nie chce się wierzyć, aby najprostsze zjawiska przyrody były im do tego stopnia obce. Należy raczej przypuszczać, że fatalne ich błędy powstają na tle lekceważenia czytelników lub pośpiechu w pisaniu z numeru na numer.

Oto np. przed kilku laty, jeden z dość znanych autorów, opisując przyjazd do majątku właściciela i dzielnego agronoma, zaprowadzającego porządek w nieudolnej gospodarce dotychczasowego administratora, wkłada mu w usta tyradę na temat spostrzeżonych zaniedbań, której głównym motywem jest n i e s k o s z o n y ł a n ż y t a. Czytelnik mógłby współczuć kłopotom agronoma, gdyby nie okoliczność, że termin jego przyjazdu wypadł... w październiku, gdy zielenią się nowe runie, a zeszłoroczne żyto dawno spoczywa w stodołach i stogach. Zaraz po ukazaniu się feljetonu z tym paradoksalnym opisem, zainterpelowałem publicznie autora w „Gaz. Warszawskiej", gdzie widział łany dojrzałego żyta w październiku, ale autor wolał pokryć moje zapytanie milczeniem. Wszelako główne rekordy nieprawdopodobieństw są osiągane w charakterystykach typów ziemiańskich, w opisach ich codziennego życia i obyczajów. Zdarza się nieraz, że powieściowi ziemianie żyją na skalę, która w szybkiem tempie zrujnowałaby nie jednego magnata. Rzucają tysiącami na podróże zagraniczne, wydają wspaniałe przyjęcia w swych rezydencjach, w pierwszorzędnych hotelach zajmują z reguły nie pojedyńcze numery lecz apartamenty, a na te wszystkie luksusy posiadają zaledwie dwa lub trzy folwarki. Skutkiem tego cała fabuła powieści już z samego swego założenia jest oparta na fałszywych przesłankach. W opisach życia i obyczajów sfer arystokratycznych fantazja autorów zatraca wszelką miarę.

Oto np. w jednej z powieści, pisanej przez bardzo płodnego i znanego autora znajdujemy opis balu w wiekopańskiej rezydencji, połączonego z obchodem imienin starej hrabiny. Pomiędzy wielu utytułowanymi gośćmi widzimy biskupa, którego obecność świadczy o uznaniu, jakiem się cieszy solenizantka w sferach kościelnych. Niestety wysoki diapazon uroczystości jest zakłócony nad ranem niesamowitą sceną jakiegoś szalonego kujawiaka, tańczonego z pełnemi kieliszkami szampana na głowach tancerzy — przy akompaniamencie strzelania na wiwat z rewolwerów przez podochoconą młodzież. Można przypuszczać, że autorowi pomięszały się jakieś wspomnienia z przedwojennej przeszłości. Bo taka pukanina po pijanemu pasowałaby duchem i nastrojem do święta pułkowego kozaków dońskich, nikt jednak mu nie uwierzy, że w ten sposób bawi się wykwintne towarzystwo, zgromadzone w siedzibie arystokratycznej matrony i w dodatku w obecności księcia Kościoła. Mógłbym z tej samej powieści zacytować i inną herezję, mianowicie gotowanie w rondelku starego szlachetnego burgunda z imbierem czy goździkami, ale to już jest lapsus mniejszy, który każdemu profanowi zdarzyć się może.

W karykaturalnych obrazach ziemiańskiego bytu nie mały udział biorą pióra kobiece, nieraz bardzo utalentowane, a jednak dające opisy, urągające prawdzie i będące wytworem chorobliwej wyobraźni. Np. w jednej powieści widzimy pannę służącą, czytającą jaśnie pannie Fenelona. Ta ostatnia przerywa nagle lekturę i zabiera służącą na eskapadę, mającą na celu niespodziewane wtargnięcie do izby, gdzie sypiają dziewki dworskie. Żeby już obraz rozwydrzenia jaśnie panny był kompletny — nie idą one we dwie same — co jeszcze miałoby jakiś sens, lecz dopuszczają do tajemnicy ekonoma, aby razem straszyć amantów, spędzających noc z dziewczynami. Wchodzą — pisk dziewcząt — popłoch wśród chłopców, uciekających z objęć

kochanek przez wybite okno... no i koniec. Jaśnie panna zadowolona i podekscytowana widokiem rozebranych parobków, „źrenice jej świecą, jak u kota”, odprawia ekonoma i wraca do panieńskiego pokoju „gdzie świeci się tylko lampka oliwna przed obrazem Zwiastowania nad białem łóżkiem panny”.

Pytamy poco i komu był potrzebny ten obrzydliwy epizod? Gdyby autorce chodziło o uwydatnienie zwyrodnienia, które w każdem środowisku może się zdarzyć, to powinna była wyjaśnić, w jakich warunkach powstał typ tak anormalny. Tymczasem postać panny zjawia się w powieści po raz pierwszy chyba jedynie tylko po to, aby wmówić w czytelników, że normalnem zajęciem panien ze dworu jest podpatrywanie baraszkujących z chłopcami dziewcząt dworskich i to w przerwach pomiędzy pobożną lekturą, a wieczornym pacierzem przed świętym obrazem.

Nie mnożyłbym już więcej przykładów fantastycznego traktowania rzeczywistości wiejskiej, a może w ogóle nie byłbym wcale poruszał tej sprawy, gdybym wiedział, że to są błędy przeszłości, które w nowem pokoleniu powieściopisarzy nie mają naśladowców.

Niestety, pewne zjawiska chwili bieżącej zadają kłam tym nadziejom, bo młodzi autorowie nie tylko nie uznają prawdy za główny drogowskaz tworzenia, lecz w bezceremonialnem obchodzeniu się z rzeczywistością biją wszelkie rekordy poprzedników.

Potwierdzenie tego faktu znajduję w powieści młodego autora, ukazującej się obecnie w feljetonach jednego z pism codziennych. I znowu ani organ prasy ani autor nie mogą być obarczeni zarzutem antyziemiańskiego nastawienia. Przeciwnie ostrze satyry autorskiej zwraca się raczej przeciwko klasie urzędniczej, a wady bohatera powieści, dziedzica, są dość pobłażliwie jeśli nie przychylnie przezeń oceniane. Pomimo to przedstawia on środowisko ziemiańskie w sposób tak jaskrawy i odrażający, jak gdyby celowo dążył do zohydzenia dworu i jego mieszkańców.

A więc do wiejskiego dworu wraca córka właściciela ze swą przyjaciółką, z którą zaprzyjaźniła się w kąpielach morskich. Tam również poznała młodego człowieka, z którym zawiązała niewinny na razie flirt. Jednocześnie do dworu przyjeżdża kolega ojca vice - minister, człowiek jeszcze nie stary i żądny uciech życia. Na tle dworu i otoczenia zawiązuje się intryga powieści Aspirant do ręki panny, źle widziany przez jej rodziców odwiedza ją tylko w ogrodzie. Pozostawiony na chwilę z przyjaciółką ulega atakowi uścisków i pocałunków tej ostatniej, a scenę tę — jak zwykle w powieściach — podpatruje wracająca panienka. Zagrożona konkurencją przyjaciółki, panienka odrazu zgadza się na nocne rendez-vous z młodym człowiekiem w przyległym lesie. We dworze towarzystwo zasiada do kolacji, w ciągu której vice-minister zaintrygowany jest osobą przyjaciółki, którą już gdzieś w życiu widział. Pamięć istotnie mu dopisała, bo okazuje się później, że przyjaciółka domowej panny jest *excusez du peu* — na utrzymaniu u jednego z kolegów vice-ministra. Dygnitarz, kując żelazo póki gorące — korzysta z krótkiego sam na sam, aby przypomnieć się pamięci i umówić z przyjaciółką na nocne odwiedziny w jej pokoju. Zapada noc. Dziedzic, nie mogąc zasnąć, czy może tknięty złemi przeczuciami co do jedynaczki, błąka się po domu i trafia na kolegę dygnitarza, opuszczającego właśnie pokój, w którym rezyduje przyjaciółka córki. Rozstawszy się z nim, zagląda do pokoju jedynaczki, gdzie widzi łóżko z pościelą nietkniętą, jako że córeczka w tym czasie zażywa na mchu leśnym rozkoszy pierwszej nocy przedślubnej ze swoim miłym...

I wszystko to odbywa się dziwnie gładko, bez krzyków, fochów lub niepotrzebnych dramatów. Dość ręką kiwnąć, aby niewiasta była gotowa. Czy to nie jest czasem dom schadzek? Nie, to dwór polski, widziany oczyma autora polaka! W jego wyobraźni rozpusta jest głównym bodźcem życiowym i ideałem młodego pokolenia.

A jaki jest jego stosunek do starszych? Oto bohater powieści, człowiek czterdziestoparoletni, ma istotnie wiele trosk i udręczeń, psujących mu humor. Prześladują go urzędy, nawiedzają katastrofy, grozi mu jakiś proces za nieprawidłowy wyrąb lasu, a na domiar nieszczęść córeczka urządza sobie poprawiny z amantem, tym razem na sianie i od papierosa, palonego podczas schadzki, powstaje pożar, niszczący część budynków wraz z dworem tak, że dziedzic z żoną muszą chwilowo mieszkać w oborze.

A jednak wszystkie te mniej lub więcej nieprawdopodobne klęski życiowe nie tłumaczą bynajmniej, dlaczego w rozmowach małżeńskich ona mówi do męża „ty kretynie jeden”, a on nie pozostaje jej dłużny, odpowiadając w podobnym stylu. Tego rodzaju mocne słowa nie dziwiłyby w kłótni sutenerów z prostytutkami, ale niechże autor nie próbuje wmawiać w czytelnika, że w ten sposób rozmawiają z sobą mieszkańcy dworów, a więc ludzie, stojący bądź co bądź na pewnym wyższym stopniu kultury towarzyskiej. I niech się nie dziwi, że jego bezceremonialne obchodzenie się z prawdą wywołuje słowa surowej krytyki i protestu przeciwko szkalowaniu — chciałbym wierzyć mimowolnemu — całej warstwy społecznej. Daleki jestem od idealizowania i przypisywania jej jakichś niezwykłych zalet, przeciwnie, widzę wiele jej braków i wad, które mogą, a nawet powinny być chłostane biczem satyry. Ale niechaj to będzie satyra prawdziwa, oparta na drobiazgowej obserwacji faktów, znajomości charakterów i umiejętnej analizie duszy ludzkiej, a nie krzywe zwierciadło, zniekształcające oblicza w tandetnej karykaturze.

I przykro mi, że autor, należący do najmłodszego pokolenia nie wnosi żadnych nowych idei i metod twórczości, ale niewolniczo hołduje starym szablonom, kreśląc typy fałszywe, figury papierowe, nie mające nic wspólnego z rzeczywistością, a nowością jest tylko erotyzm pośledniego gatunku, zrodzony w zakamarkach wielkomiejskich spelunek. W atmosferze zatrutej miazmatami rozpusty nie mogą powstawać dzieła wielkie i piękne.

Dlatego nie należy się łudzić, aby w interesującej nas dziedzinie powieści, osnutej na tematach z życia inteligencji wiejskiej, nastąpił zwrot na lepsze, dopóki ideał prawdy nie zatryumfuje nad zakłamaniem, fałszem i blagą, które niestety panują dotychczas wszechwładnie w powieściowych opisach dworów wiejskich.

Suchodębie MARIAN KINIORSKI

NA WIDOWNI

W OBLICZU WYDARZEŃ

NAJWIĘKSI nawet pesymiści nie przypuszczali zapewne takiego obrotu wydarzeń, jaki w ostatnich dniach miał miejsce. Chmury, jakie nad Europą zbierały się w przeciągu długich ubiegłych lat, grożą dziś już całkiem realnemi gromami i wszyscy zdajemy sobie doskonale sprawę, że nadchodzi czas rozgrywki, od której dzielą nas poprostu już nie godziny może nawet, ale minuty.

Dla opinii polskiej nie jest to jednak wcale straszne, bo od dawna przeczuwała ona podobny układ rzeczy. Niepokoić może jedynie fakt okrążenia nas przez Niemcy, ale i tu świadomość groźby rodzi tylko jeszcze większą chęć odporu. Nie pora też już dzisiaj mówić o błędach i dyskutować nad przebiegiem ostatnich dwudziestu lat. Mówi się poprostu — trudno, i mimo wszystko nie ustępuje.

Bo Polska w obliczu niebezpieczeństw nie cofa się, a tylko do nich szykuje. A przygotowywanie się do wojny ma zawsze dwa aspekty — wewnętrzny i zewnętrzny.

Czynnik wewnętrzny jest bardzo skomplikowany i różnorodny. Chodzi tu przecież zarówno o postawę moralną jak i o rozmiary uzbrojenia. Jest to poprostu cały las zagadnień, obejmujących sobą całokształt życia narodu. W obliczu więc grozy wojennej należy zrobić uczciwy i głęboki rachunek sumienia coś jakby generalną spowiedź przed bitwą.

Siły moralne zawsze w walce decydują i są najważniejsze. Niedawny przykład czeski raz jeszcze nam to uzmysłowił i pokazał w całej pełni, o ile to ważniejsze od uzbrojenia i ekwipunku. Chcąc więc zwyciężyć, trzeba mieć ideę. Nie brakło jej pod Grunwaldem, Lignicą czy Wiedniem, i musi ona i teraz widnieć na naszych sztandarach. Przeciwko pogańskiej swastyce stawiamy krzyż — przeciwko Europie kolektywu — Europę jednostek i rodzin, zorganizowaną w ład chrześcijański, na wolności oparty. Wojna może być błogosławioną tylko wtedy, gdy niesie z sobą zwycięstwo prawdy i tylko prawdy sztandary zasługują na błogosławieństwo. Przemyślmy głęboko to wszystko i zrozummy, że Polska nie będąca do głębi sobą i katolicką nie ma czego właściwie przeciwstawić dzisiejszym Niemcom. W takim egoistycznym boju dwóch państw podobnych, decydującym byłby litylko czynnik materialnej, mięśniowej siły, stający zawsze przeciwko nam. Polska, oburzająca się na zaborczość niemiecką, czy niemieckie metody przemocy, litylko z żalu, że sama na nie jest za słaba, nie jest Europie specjalnie potrzebna i każdą walkę przegra, będąc poprostu o wiele mniej silna od podobnego do siebie wroga. Warto to specjalnie podkreślić, bo nie brak wśród nas osób, dla których wewnętrzna treść niemiecka nietylko, że nie jest wroga, ale nawet poniekąd wydaje się, jako „narodowa" i antysemicka, bliską i sympatyczną.

Koniecznością staje się też konsolidacja i wszyscy do niej nawołują. Przemawia tu poprostu instynkt.

Ale trzeba wyraźnie zaznaczyć, że, mimo tę konieczność, poddać się bez zastrzeżeń pod jedno kierownictwo można jedynie w wypadku, gdy się w nie wierzy i gdy ma ono ideę. Nie chodzi tu o żadne względy osobowe czy liche gierki polityczne, ale o proste stwierdzenie, że żądać wyrzeczeń i posłuszeństwa można jedynie, dając wzamian cel wielki i etyczny. Frazes tu nie wystarczy, skoro chodzi o treść. Istotna konsolidacja w Polsce może być jedynie katolicka i narodowa w sensie najgłębszym tego słowa. I nie chodzi wcale o władzę i o ludzi, ale o jasne postawienie celów, do których ona ma służyć, i ideałów, z któremi ma się wiązać, — no i o szczery czyn, rodzący potrzebną karność i wiarę.

Zgodni i ożywieni jedną ideą stanowimy siłę i potrafimy się obronić.

KAROL STEFAN FRYCZ

GŁOSY

Skonfiskowano

Skonfiskowano

CO TO BYŁO WE LWOWIE

NA POSIEDZENIU sejmowem w d. 22 marca r. b. (nienależący do Ozonu) pos. Rudnicki zgłosił interpelację do p. ministra spraw wewnętrznych w sprawie ciężkiego pobicia przez policję państwową w nocy z dnia 10 na 11 marca b. r. studentów Politechniki Lwowskiej, mieszkańców II Domu Techników przy ul. Abrahamowiczów we Lwowie oraz uszkodzenia, względnie zniszczenia wewnętrznych urządzeń domu i prywatnego mienia studentów. Interpelacja, opatrzona podpisami 10-ciu posłów niezależnych i przyjęta do laski marszałkowskiej, brzmi:

„W nocy z dnia 10 na 11 marca b. r. około godz. 0,30 silne oddziały policji państwowej (w liczbie około 500 ludzi) otoczyły zwartym kordonem II Dom Techników przy ul. Abrahamowiczów we Lwowie i wkroczyły na teren dziedzińca. Nie żądając otwarcia bramy i nie podając celu przybycia, liczne grupy policjantów wtargnęły do wnętrza domu przez wyłamaną boczną bramę oraz po wybiciu szyb przez portierkę umieszczoną w parterze obok wejścia głównego.

Po zdemolowaniu urządzenia portierki grupy policjantów w liczbie od 2 do 6 ludzi wkraczały kolejno do poszczególnych pokoi i nie pytając o nic, ani nie żądając niczego, niezwłocznie przystępowały do bicia znajdujących się tam studentów, pomimo, że studenci ci nie dawali ku temu żadnych powodów, nie atakowali policji i nie stawiali żadnego oporu.

Pobitych zostało stu kilkudziesięciu studentów, niektórzy bardzo ciężko, gdyż doznali poważnych obrażeń zewnętrznych, stwierdzonych zaświadczeniami lekarskiemi. Najciężej pobity został student St. J. Michaleskul, który doznał wybicia kilku zębów, rozbicia głowy od uderzenia okutym butem policjanta oraz szeregu innych ciężkich obrażeń. Student ten, jak zresztą i wielu innych z pośród pobitych, jest oficerem rezerwy i b. ochotnikiem wojskowym, obrońcą Lwowa.

Niezależnie od bicia studentów, policjanci demolowali urządzenia pokoi, niszcząc prywatne mienie ich mieszkańców oraz wykonane prace, tj. plany, rysunki itp.

Celem uniemożliwienia jakiejkolwiek obrony, cały budynek został silnie zagazowany przez wrzucenie do wnętrza domu kilkunastu granatów łzawiących, a w celu uniemożliwienia studentom zwrócenia się do władz lub rektora Politechniki, znajdujący się w domu tym telefon został jeszcze przed wkroczeniem policji wyłączony. Rektor Politechniki, jak świadczy dołączony odpis jego wyjaśnienia, o mającej nastąpić rewizji powiadomiony został dopiero o godz. 1 m. 50 w nocy.

Rewizja w poszczególnych pokojach przeprowadzona została dopiero po zakończeniu t. zw. „pacyfikacji". Wyniki tej rewizji, jak świadczą dołączone odpisy zeznań niektórych studentów, są zupełnie inne aniżeli podane do publicznej wiadomości drogą urzędowych komunikatów.

Nie pochwalając i nie stając w obronie ekscesów, jakich dopuszczają się czasami poszczególne grupy młodzieży akademickiej, podpisani interpelanci nie mogą przejść do porządku dziennego nad opisanymi wypadkami a zwłaszcza nad faktem ciężkiego pobicia przez organ państwowy, powołany do strzeżenia ładu i porządku prawnego w państwie, szeregu studentów, z pośród których niewątpliwie wielu wogóle nigdy nie brało żadnego udziału w ekscesach lub choćby demonstracjach.

Ponieważ opisane wypadki wywołały wśród społeczeństwa bez różnicy zapatrywań społeczno-politycznych bardzo silne wzburzenie i przygnębienie, przeto podpisani, podając powyższe do wiadomości Pana Ministra i dołączając: sprawozdanie przewodniczącego zarządu II Domu Techników we Lwowie o przebiegu rewizji, odpisy zeznań studenta St. L. Michaleskula i 26 innych studentów, odpis protokółu stwierdzającego zniszczenia i uszkodzenia nieruchomości oraz ruchomości, zdjęcia fotograficzne niektórych fragmentów tej rewizji, — zapytują: Czy powyższe fakty są znane Panu Ministrowi oraz czy Pan Minister skłonny jest zarządzić, by podobne wypadki w przyszłości nie powtórzyły się więcej, by wyrządzone młodzieży i zarządowi II Domu Techników we Lwowie szkody materialne i moralne zostały naprawione, a winni tych szkód by zostali pociągnięci do odpowiedzialności karnej i służbowej".

ZAPYTANIĘ DO RZĄDU

WYSTOSOWANE

W DNIU 22 marca rb. na posiedzeniu Sejmu pos. Dudziński (z poza OZN.) złożył do laski marszałkowskiej skierowaną do p. premiera interpelację w sprawie ostatnich wypadków w Europie środkowej. Interpelacja ta mówi m. in.:

W ostatnich dniach zaszły fakty, zmieniające w sposób wybitnie niekorzystny naszą pozycję polityczną i militarną w Europie środkowo-wschodniej.

Wskutek ostatnich wydarzeń sytuacja polityczna Polski stała się poważna. Niemcy przeszły wyraźnie od koncepcji państwa narodowego do koncepcji „*Gesamtdeutschland*", przewidującej włączenie do Rzeszy szeregu krajów naddunajskich i bałtyckich w charakterze państw wasalnych. Godzi to bezpośrednio w bezpieczeństwo Polski, która ma w obydwu tych rejonach najżywotniejsze interesy, których naruszenie podważyłoby puściznę mocarstwową Józefa Piłsudskiego.

Jeżeli porównamy sytuację polityczną i militarną w dniu śmierci Marszałka Piłsudskiego z jej sytuacją w dniu dzisiejszym, dojdziemy do bardzo smutnych refleksji. Mapa tej części Europy, jak również realna proporcja sił zmieniły się w tych kilku latach zdecydowanie na naszą niekorzyść, poczynając od wypowiedzenia przez Niemców klauzul wojskowych traktatu wersalskiego, a kończąc na *Anschlussie,* Sudetach i aneksji Czechosłowacji.

Jeżeli dodamy do tego fakt, że Niemcy nie zagwarantowały nam nigdy nienaruszalności naszej granicy zachodniej, a w roku ostatnim zlekceważyły w sposób jaskrawy nasze interesy w rejonie naddunajskim, musimy stwierdzić, że przesłanianie oczu na konsekwencje tego stanu rzeczy byłoby chowaniem głowy w piasek.

Fakty, o których tu mówię, były do przewidzenia od dawna. Ostrzegała przed niemi niezależna prasa polska. Jeden z publicystów pisał w marcu ub. r. „Wkrótce ujrzymy w Karpatach niemieckie hełmy szturmowe". Trudno więc przypuścić, aby czynniki odpowiedzialne nie zdawały sobie z tego sprawy. Rodzi się natarczywe pytanie: Dlaczego nie przeciwdziałano zbliżającym się niebezpieczeństwom? Jeżeli rząd wiedział o przygotowujących się posunięciach niemieckich, to nikt nie zdoła pojąć, dlaczego przypatrywał się im bezczynnie. Jeżeli zaś został niemi zaskoczony, to nie można powiedzieć, jakoby rząd pomyślnie zdał egzamin, postawiony mu przez budowniczego państwa, Marszałka Piłsudskiego.

Obrona bowiem polega nie tylko na czekaniu z bronią u nogi i wzmacnianiu potencjału militarnego, lecz również na aktach rozumu stanu, popartych w razie potrzeby aktami siły, a stwarzających możliwie pomyślne warunki dla przyszłej walki. Tymczasem błędy czynników rządzących doprowadziły nas do sytuacji, możliwie najgorszej pod względem strategicznym, przekreślając w dużej mierze dotychczasowe wyniki pracy i zmuszając do uciążliwych i kosztownych przegrupowań sił i elementów.

W tych warunkach wniosek pos. Żeligowskiego, zneglizowany przez większość sejmową, szedł po linii najgłębiej pojętych konieczności państwowych. P. gen. Żeligowski miał prawo do niepokoju nie tylko jako obywatel i przedstawiciel wyborców, lecz także jako b. wojskowy. Jeżeli bowiem wspomniane fakty nastąpiły mimo, że czynniki odpowiedzialne rozporządzały nieprzerwanie tą „swobodą i poufnością ozonowy, jakie zastrzega dla nich słusznie organ decyzji" świadczy to dobitnie, że dziś już nie wystarcza dla pełnej obronności państwa kooperacja czynników wojskowych z tajną pracą naszej dyplomacji. Dla zapewnienia tej pełni obronności potrzeba szerszej bazy operacyjnej, trzeba współpracy bezpośredniej rządu i społeczeństwa, trzeba odwołać się wprost do narodu.

Potężna większość społeczeństwa nie kwestionuje bynajmniej zasad naszej polityki wewnętrznej i zagranicznej, wypływających z systemu, pozostawionego nam w spadku przez Józefa Piłsudskiego. Stwierdza ona tylko — i w tem nie można jej odmówić słuszności, że praktyczna realizacja tych zasad niekiedy fatalnie zawodzi. Tłumaczenie tych potknięć brakiem elementów siły na terenie wewnętrzno - politycznym jest błędne. W istocie jest na odwrót. Mocne i konsekwentne posunięcia na zewnątrz są jedynie zdolne zjednoczyć naród i dać mu poczucie siły. Widzieliśmy to w okresie zatargu z Litwą i w walce o Zaolzie.

Dwa są dzisiaj warunki jedności i dynamiki narodu: 1) zerwanie czynników rządzących z duchem niewiary w naród, w jego wolę jedności i siły moralnej, 2) porzucenie postawy wyczekującej i defensywnej, a przejście do męskich, odważnych decyzyj. Albowiem brak oparcia o naród przez tych, co nim kierują, wytwarza nieuchronnie, jako reakcję, defetystyczne nastroje. Zaś brak odwagi decyzji w obecnych rozstrzygających momentach rozbraja naród psychicznie i to w przededniu walki. Po kunktatorskiej wyprawie Skrzyneckiego na gwardię musiała przyjść Ostrołęka, ale piorunujący manewr Piłsudskiego w dniach oblężenia Warszawy zmienił klęskę na zwycięstwo. Jeszcze gorsze jest sztuczne usypianie czujności, przejawiające się w prasie urzędowej, w nastawieniu cenzury i w Sejmie. W obecnych warunkach zakrawa ono na robotę antypaństwową, albowiem wiemy z historii i z niedawnych doświadczeń, że właśnie poczucie zagrożenia sprawiało w Polsce zawsze cud zjednoczenia narodowego.

Mamy dziś przed sobą dwa równie ważne zadania: 1) obudzić poczucie zagrożenia, jako pożądany środek wydobycia wszystkich sił moralnych i materialnych z narodu, 2) obudzić wiarę w siłę realną Polski i jej zdolność do posunięć zdecydowanych.

Polska jest silna. Polska jest silniejsza, niż sądzi wielu jej obywateli. Polska ma źródła niewyczerpane mocy nie tylko w swej armii, opromienionej glorią zwycięstw, lecz także w gotowości bojowej milionowych mas polskich i w nieustraszonym patriotyźmie. I gdy weźmiemy pod uwagę te elementy polskiej siły, musimy stwierdzić, że postawa nasza i polityka jest nieproporcjonalnie minimalistyczna w stosunku do tego, czem rozporządzamy.

Nie oglądajmy się na Zachód. Nie łudźmy się pozorami jego wzmożonego aktywizmu politycznego. W myśl słów Prezydenta Rzplitej musi-

my liczyć jedynie na własną aktywność i własne siły. Jest jasne dla każdego, że pierwszym z tych postulatów i interesów jest pozycja Polski nad Bałtykiem. Skorośmy na południu dopuścili do okrążenia, musimy zapobiec powtórzeniu się tych błędów na północy.

Misją dziejową Polski jest w pierwszym rzędzie obrona wolności i niezniszczalności narodów, zagrożonych przez ekspansję potęg zaborczych i agresywnych. Pełniąc tę misję Polska broni jednocześnie samej siebie.

Warunkiem dopełnienia tej misji, to: mobilizacja moralna i materialna narodu, to przekreślenie sporów wewnętrzno-politycznych, to powołanie wszystkich do bezpośredniej współpracy. Zadanie to spełnić może tylko rząd w oparciu o jedność narodową. Bo jedynie rząd wolny od tradycji partyjnictwa, zarówno jak od zapędów totalistycznych jednej grupy, może prowadzić śmiało i konsekwentnie politykę mocarstwową. Politykę twardych decyzji, politykę mocy.

W tem przekonaniu zwracam się do Pana Premiera z zapytaniem:

1) Jak rząd ocenia sytuację polityczną Polski, wytworzoną przez ostatnie wydarzenia na naszej południowej granicy?

2) Co rząd zamierza uczynić dla rozszerzenia swej platformy wewnętrzno-politycznej?

Z OBCEGO ŚWIATA

WYŚCIG

POŚPIECH III-ej Rzeszy, zmieniającej w zawrotnym tempie kartę polityczną Europy należałoby raczej nazwać, wyścigiem. Już *Anschluss* austriacki przebudził Europę z jej snu pacyfistycznego, w który się pogrążyła po zawarciu w Wersalu traktatu. Wprawdzie w Azji, Afryce były walki, ale się one nie liczyły. Hipokryzja, nieodłączna cecha purytańskiej etyki, która zrodziła pacyfizm, zezwalała na niebranie ich pod uwagę. To to przecież były tylko konflikty zbrojne a nie wojny!

O ile *Anschluss* przebudził Europę, o tyle Monachium prawie ją otrzeźwiło. Piszemy „prawie”, gdyż Chamberlain wierzył jednak niemieckiemu słowu. Francuzi również wierzyli. Mimo wszystko wziął się zarówno Londyn jak i Paryż do zbrojeń. Ze skali zbrojeń owych zdał sobie dobrze sprawę kanclerz III-ej Rzeszy, zajmuje więc Czechy, bierze pod protektorat Słowację, anektuje Kłajpedę. Tym razem Zachód poczyna się organizować i ubezpieczać nie na żarty. Dnia 24-go marca Francja i Anglia wymieniły deklaracje na temat pomocy wojskowej dla Belgii, Szwajcarii i Holandii. Następuje atak Niemiec na południowy-wschód — zawarcie układu handlowego z Rumunią. Układ ten nietylko penetruje rumuńskie życie gospodarcze, ale umacnia tam wpływy gospodarcze III-ej Rzeszy przez zbudowanie wcale potężnych twierdz w postaci niemiecko-rumuńskich towarzystw dla eksploatacji bogactw naturalnych naszego południowego sąsiada wzamian za uczynienie zeń jednego wielkiego rynku zbytu dla niemieckiego przemysłu — ze zbrojeniowym włącznie.

Jest to wydarzenie wagi pierwszorzędnej, którego nikomu lekceważyć nie wolno; podbój niemiecki rozmaite — jak się okazuje — posiada formy.

Zachód, i nie on tylko, jest wyraźnie zaskoczony tempem marszu III-ej Rzeszy. Do tej pory w wyścigu Niemcy przodują. Do „*finishu*“ jednak jeszcze nie doszło. Hitler bije wschód nie tylko tempem akcji ale i różnorakością taktyki. Minister Spraw Zagranicznych Gafencu stwierdził, że układ niemiecko-rumuński „podkreśla pokojowe cele polityki dwóch krajów”. Zdanie to tak, zdawałoby się jasne i proste, pisane jest w gruncie rzeczy dyplomatycznym szyfrem, który narody potrafiły już odczytywać. W formach dyplomatycznego konwenansu Niemcom jest nie do twarzy — świat o tem zdaje się wiedzieć... Dobrze wiedzieć. Myśmy — musimy tu nawiasowo zaznaczyć — już dawno się o tem dowiedzieli. Jeszcze za czasów przymierza polsko-pruskiego w drugiej połowie wieku XVIII-go.

Tygodnik „Polityka” w artykule wstępnym p. t. „Bilans strat i zysków polskiej polityki zagranicznej” pisze, że „Ostatnie wydarzenia czeskie i słowackie uderzyły jak grom z jasnego nieba nieprzygotowaną opinię polską i spowodowały wiele pochopnych i mało rozumnych komentarzy”. Tygodnik „Polityka” poczuwa się więc do rzucenia „rozumnego komentarza”, wyjaśniającego sytuację. Czytamy:

> „Otóż wydaje się nam — pisze „Polityka” — iż Polska nie potrzebuje występować przeciw imperializmowi niemieckiemu, jeżeli nie narusza on trzech zasadniczych warunków: 1) jeżeli nie kieruje się przeciw granicom Rzeczypospolitej, 2) jeżeli nie pozbawia Polski jej możliwych sojuszników w przyszłej ewentualnej walce z Niemcami czy z Rosją i 3) jeżeli nie narusza żywotnych połączeń komunikacyjnych Polski na wypadek wojny”.

Ponieważ dalsze zdania idą w kierunku udowodnienia, że imperializm niemiecki nie naruszył owych trzech zasadniczych warunków, więc w ostatecznej konkluzji

> „...nie widzimy żadnej przyczyny do nadmiernego niepokoju. Śmieszna panika i histeria, która ogarnęła naszą żydowską i endecką prasę, nie ma najmniejszego sensu“.

I to są słowa organu mieniącego się wyrazicielem imperializmu! Panowie — nie nadużywajmy słów.

Nie dalej, jak 25-go stycznia ta sama „Polityka” umieściła wytłuszczonym drukiem takie oto zdanie, jako tezę główną artykułu:

> „Rzeczpospolita nie może w żadnym wypadku dopuścić do amputacji Kłajpedy. Zamach na całość Republiki Litewskiej należy potraktować jak zamach na całość terytorium polskiego“.

Dzisiaj nie widzi się żadnej przyczyny do nadmiernego niepokoju! Artykuł „Bilans strat i zysków...” kończy takie oto zdanie: „Groźna byłaby okupacja Słowaczyzny i nie możemy do niej w żadnym wypadku dopuścić”. Mamy pełne prawo sądzić, że w wypadku takiej np. okupacji Słowaczyzny redakcja „Polityki” zapomniałaby o wyżej przytoczonem zdaniu i wytłumaczyła by również, że wszystko w porządku...

Bodaj to posiadać zdolność argumentacji i bodaj to przybierać groźną postać imperialisty!

B.

ZMARLI

Ś. P. KAROL WIERCZAK

ZNOWU dzwon pogrzebowy zwołuje nas do trumny towarzysza pracy i walki narodowej. Obecnie zmarł wierny chorąży naszego obozu, śp. Karol Wierczak. Poszedł za tymi starszymi od siebie, dla których był pomocą, wyręką, ramieniem wykonawczem, organizatorem szeregów, przyjacielem, doradcą. W krótkim czasie, jakby w jednym pokosie śmierci padli z pośród przewódców naszego ruchu: Roman Dmowski, Joachim Bartoszewicz, Jan Gwalbert Pawlikowski, K. H. Rostworowski, Ignacy Chrystowski, Adam Pozowski, Władysław Seyda. Poszedł za nimi na tamten lepszy świat Karol Wierczak.

Zmarł w sile wieku. Urodzony w r. 1887 w Małopolsce, już w uniwersytecie we Lwowie odznaczył się aktywnością polityczną. Lwów, który w następnem pokoleniu stał się gniazdem Orląt, wówczas gdy Wierczak był studentem, dawał początek silnemu ruchowi politycznemu, organizowanemu przez stronnictwo Demokratyczno - Narodowe. Czujność młodzieży polskiej, skierowana przeciwko akcji ukraińskiej, krzepiła ducha w społeczeństwie. Lwów przodował poczuciem polskości i temperamentem patriotycznym innym w Polsce ogniskom.

A jak poważnie brał się do pracy narodowej, świadczy świetny rozwój Tow. Szkoły Ludowej i Sokoła. Była to znakomita dla młodego Wierczaka praktyka.

Zaciągnąwszy się w szeregi stronnictwa DN, stał się wkrótce jednym z niezbędnych czynników organizacyjnych.

W czasie wybuchu wojny, gdy Austria nalegała na tworzenie legionów: bądź polskich, mających pójść na Kongresówkę, bądź ukraińskich, przeznaczonych na budzenie ruchu ukraińskiego w Rosji, — Wierczak stanał obok Al. hr. Skarbka i St. Biegi, jako jeden z organizatorów Legionu Wschodniego, tworzonego w oparciu o Sokolstwo. Gdy wyprowadzony ze Lwowa, ten legion został następnie, jak było w planie, rozwiązany, twórcy jego, ścigani przez władze austriackie musieli się ukrywać. Skarbek wyjechał zagranicę, a Biega i Wierczak, po ustąpieniu wojsk rosyjskich z Małopolski, emigrowali na Wołyń. Wyjechał z nimi również (w czerwcu 1915) prezes Stronnictwa Jan Gw. Pawlikowski. Wierczak razem z Pawlikowskim zamieszkał w Żytomierzu i tu oddał się całkowicie pracy nad organizowaniem czasowego wychodźtwa polskiego.

Czynny był jako członek Macierzy Szkolnej, jako członek Komitetu Wykonawczego na Rusi (prez. Bartoszewicz), był komisarzem na Wołyń Pogotowia Wojennego, w r. 1918 członkiem Rady Międzypartyjnej (prezes St. Wojciechowski). Z ramienia Rady towarzyszył gen. Hallerowi w pochodzie jego oddziałów z Sorok do Kaniowa.

W Polsce już wolnej działacz tego pokroju nie mógł być zwolniony ze służby publicznej. Losem jego było zaparcie się praw życia osobistego dla siebie, spokoju, stanowiska, kariery. Oddał się cały na usługi stronnictwa (Zw. Lud.-Nar., potem Str. Narodowego). W służbie tej jako sekretarz generalny stronnictwa, narażając się stale na niewygody podróży, na zrywanie płuc w przemówieniach publicznych, stargał siły, które mu zapowiadały długowieczność.

Od r. 1922 do r. 1935 ś. p. Wierczak był posłem na Sejm. Nie spoczywał tu na mandacie. Była to ciężka praca organizacyjna zarówno podczas wyborów jak i w życiu parlamentarnem. Wszystko to wiązało się stale z pracą dziennikarsko-publicystyczną. I na tem polu śp. Wierczak składał ciągle dowody i uzdolnień i wielkiej użyteczności.

Wspomnienie to pożegnalne byłoby niepełne, gdyby się nie zaznaczyło, jak wielką wartość przedstawiał ten działacz jako człowiek. Nie było w nim odrobiny przywar, właściwych organizatorom działań masowych. Ciągłe przewodzenie nieraz manieruje ludzi na despotów; politykowanie— lubi popisywać się chytrością i nieszczerością, bodaj oschłą biurokratycznością. Wierczak przeciwnie, kładł w swoją pracę całą swoją dobrą duszę, pociągał ku sobie szlachetną uczuciowością, a przytem humorem, który go nigdy nie opuszczał. Praca z nim wydawała się łatwą, tyle bowiem optymizmu udzielało się od niego tym, którymi kierował.

Niezapomnianą zapisał kartę w dziejach ruchu narodowego na tym wielkim przełomie losów Polski. Bóg nagrodzi go za życie ofiarne, a wdzięczność potomnych zachowa w pamięci jego zasługę.

Z. W.

NAUKA I LITERATURA

DWIE KSIĄŻKI O CHOPINIE [1])

NIE można powiedzieć, aby literatura dotycząca osoby i twórczości Fryderyka Chopina była szczupłą. W ciągu bez mała stu lat, dzielących nas od zgonu nieśmiertelnego artysty poświęcono mu, zarówno w Polsce, jak zagranicą niejedno dzieło monograficzne. Zacząwszy od najbliższych współtowarzyszy życia Chopina, którymi byli — Liszt, Karasowski i Kleczyński, poprzez okres poromantyczny, a więc przez Ferdynanda Hoesicka, Hunckera, (wspominam jedynie o dziełach tłumaczonych na język polski), Z. Jachimeckiego, Binentala aż do książek najnowszych ze studium Karola Szymanowskiego na czele, starano się uchylić rąbek tajemnicy, otaczającej inspirację twórczą jednego z największych geniuszów świata. Niektóre z tych dzieł są monografiami, inne dotyczą wykonania dzieł Chopina, jeszcze inne, z książką Kadena-Bandrowskiego w pierwszym rzędzie, zaciemniają nam postać Ariela fortepianu, przemawiając napuszonym stylem i mętną frazeologią. Wspomniałem tu rozmyślnie o monografiach polskich, bądź na polski przetłumaczonych. A przecież z półek bibliotecznych patrzą na mnie długie szeregi tomów c h o p i n i a r z y skreślonych mniej, lub więcej umiejętnie przez dziesiątki krytyków i estetów zagranicznych.

Tak, osoba Fryderyka pociągała ku sobie umysły pisarzów tak, jak anielskie jego harmonie będą przez długie jeszcze stulecia niedościgłym wzorem doskonałości dla kompozytorów. Zdawałoby się, że te setki tomów prac o Chopinie zdołały wyczerpać przedmiot. Że nie dałoby się niczego już więcej dodać do tych skrzętnych rozważań.

A jednak... Oprócz Maurycego Karasowskiego nikt nie zajął się bliżej okresem młodości Chopina, tego przesubtelnionego Frysia, o którym opowiada nam w swojej książce Adolf N o w a c z y ń s k i. Rzecz szczególna, że ten okres czasu, będący dokładnie — połową życia Chopina, okres spędzony w Warszawie, nie zdołał nawet w części zainteresować naszych muzykologów, opowiadających z pietyzmem i godną sprawy drobiazgowością o „drugiej połowie" — o okresie paryskim. Adolf Nowaczyński z właściwą sobie swadą, humorem a przedewszystkiem — talentem maluje w swojej książce może nie tyle wierny konterfekt młodego Chopina, ile niezwykle wyraziste tło epoki w postaci danej Warszawy z czasów Frysia. Opowiadanie swoje wkłada w usta Kolberga, który w sędziwym już wieku, siedząc na krakowskich „Plantach" chętnie młodzieży ówczesnej o wielkim artyście lubił mówić. To ujęcie narracji powoduje, że autor książki usuwa się niejako rozmyślnie w cień, Kolberg zaś snuje, stylem Nowaczyńskiego, swoją cenną kronikę. Widzimy jak na dłoni życie kulturalne Warszawy z lat 1820-30, zaglądamy do znanych naówczas domów „patrycjuszów"

[1]) A. Nowaczyński: Młodość Chopina. Rój 1939 — T. Mayzner, F. Chopin. 1939.

stołecznych (p. sędzia Borakowski), do ulubionej przez akademików kawiarenki na Koziej, do teatru. Ze szczególnym umiłowaniem kreśli Nowaczyński obraz życia Chopinów, postacie rodziców Fryderyka, jego sióstr i niektórych przyjaciół. Nawet Zuska — służąca ze swoim nieustannym śpiewaniem znajduje w tej opowieści wcale poczesne miejsce. Jak dotąd, historiografi Chopina ograniczali się zazwyczaj do wpływu Żelaznej Woli, zapominając o tym że blisko lat dwanaście spędził młody Chopin na bruku Warszawy.

Doskonale skreślona sylwetka Zuski staje się niejako łącznikiem pomiędzy latami dzieciństwa Frysiowego a — dniem jego wyjazdu na zawsze z kraju. Z kart książki Nowaczyńskiego widnieje niewątpliwie wielki pietyzm dla Ariela i Amfiona, jak nazwał Fryderyka. Ale pietyzm ten nie ma w sobie cech rozhisteryzowania (o którem wspomina autor niejednokrotnie). Słówko ironii, niefrasobliwy żart, lub gra słów ożywiają opowiadanie. Trudno mi rozgraniczyć, co pod tym względem należy do Kolberga, a co jest zasługą autora książki. Faktem jest jednak, że po jej przeczytaniu lata młodości Chopina nabierają dla czytającego wyrazu, wzbogaca się tło naogół mało nam znane, co najważniejsze — rozumiemy o wiele lepiej niż uprzednio istotę późniejszego, paryskiego okresu życia kompozytora. Adolf Nowaczyński w właściwy sobie sposób wypełnił zatem lukę, jaką się w „chopinianie” dotychczasowej dawało zauważyć. Podobnie jak powieść monograficzna Fabry'ego o Moniuszce, którą na tych samych łamach ostatnio omawiałem, przyczynił się autor „Młodości Chopina” do spopularyzowania wśród swoich nieśmiertelnego i nigdy dostatecznie nie ocenionego Chopina.

Zupełnie inną jest pod względem układu treści książka prof. Tadeusza M a y z n e r a. Jak wiadomo dziełko powyższe zostało odznaczone pierwszą nagrodą przez Instytut Fryderyka Chopina, a przeznaczeniem jego jest służenie potrzebom młodzieży szkolnej. Nie znam pozostałych prac (przysłanych podobno w znacznej liczbie na wspomniany konkurs). Muszę jednak powiedzieć, że przeczytałem tę niewielką książeczkę dosłownie jednym tchem, nie mogąc się z nią rozstać.

Ograniczona długość dziełka stanowiła niewątpliwie trudne dla autora zadanie. Jakże to zmieścić na niespełna stu stronicach wszystko, co najważniejsze w życiu i twórczości artysty, o którym pisano całe tomy. Jak wybrać z pośród nich momenty najbardziej niezbędne, jak je oświetlić (stosunek do Georges Sand), aby czytająca młodzież wyniosła wrażenie właściwe i zgodne z rzeczywistością. Prof. Tadeusz Mayzner zbyt jest wielkim znawcą psychiki młodzieży, aby nie potrafił wyjść z tych trudności zwycięsko. Daje on rzut na całość życia twórczości Chopina w sposób tak, powiedziałbym, a r t y s t y c z n y, że nie nużąc młodego czytelnika datami i szczegółami wzbudza jego zainteresowanie. Postać Fryderyka Chopina nie straciła pomimo tego skrótu swojej plastyki, ani swojej wielkości. Trudno mi cytować szczegóły rozplanowania książeczki prof. Mayznera, podkreśliłem więc jedynie najtrafniej rozwiązane momenty: (dzieciństwo, rok 1830 i chwila wyjazdu, rola Georges Sand). Dodanie przy końcu dziełka opisu wycieczki do Żelaznej Woli, kto wie, czy nie odbytej ze współudziałem autora, jest rozumnym posunięciem, wzbudzi ono niewątpliwie w młodzieży chęć doznania tych samych wrażeń, poznania wsi anielskiej, gdzie urodził się najwybitniejszy przedstawiciel romantyzmu w muzyce.

Książeczka Tadeusza Mayznera nie ma oczywiście pretensji do nazwy monografii na miarę Hunckera, lub Hoesicka. Nazwałbym ją raczej zachętą dla młodzieży do poznania życia i twórczości Fryderyka Chopina. Tę rolę spełni ona niewątpliwie w najbliższym czasie.

W—b.

RUCH WYDAWNICZY

Wspomnienia o Romanie Dmowskim Władysława J a b ł o n o w s k i e g o, ogłoszone w „Myśli Narodowej” p. t. „Z biegiem lat”, ukażą się niebawem w wydaniu książkowem nakładem księgarni A. Gmachowskiego w Częstochowie. Zamówienia na tę publikację zgłaszać należy do tej księgarni (Częstochowa, ul. Dąbrowskiego 59).

*

Jako odbitka z „Warsz. Dziennika Narodowego” ukazał się bardzo interesujący szkic pamiętników Mariana K i n i o r s k i e g o p.t. „45 lat wspomnień o Romanie Dmowskim”. Wspomnienia Jabłonowskiego i Kiniorskiego, sięgające do czasów młodości Dmowskiego i znakomicie go charakteryzujące, doskonale się uzupełniają.

*

Księgarnia A. Gmachowskiego w Częstochowie przystępuje do druku książki Zygmunta W a s i l e w s k i e g o pt. „Przekazy XIX wieku”. Wydawca ogłosił w prospekcie prenumeratę na to dzieło w cenie zł. 4— w sprzedaży cena będzie podniesiona do zł. 6—. W oprawie ozdobnej w prenum. zł. 5.50.

*

Księgarnia św. Wojciecha w Poznaniu zamiast dawnego „Biuletynu Wydawniczego” zaczęła wydawać dwumiesięcznik „Albertinum”, czasopismo poświęcone kulturze czytelnictwa. Zeszyt pierwszy tego wydawnictwa za styczeń — luty r. b. przedstawia się poważnie. Prenumerata roczna zł. 1 gr. 20.

*

K a z i m i e r z T w a r d o w s k i: Rozprawy. Lwów. Polskie Tow. Filozoficzne im. K. Twardowskiego. Skład główny w księg. „Książka“ (A. Mazzucato) we Lwowie. R. 1938. Str. 40.

Siódmy zeszyt „Biblioteczki Filozoficznej“ przynosi w zwięzłej przedmowie najważniejsze dane o Kazimierzu Twardowskim, jego bibliografię i życiorys. Pierwszy artykuł zeszytu omawia historyczne pojęcie filozofii. Dalej mamy obszerniejszą rozprawkę o naukach apriorycznych czyli racjonalnych (dedukcyjnych) i naukach aposteriorycznych, czyli empirycznych (indukcyjnych). Spór klasyfikacyjny, który toczy się od wieków, z udziałem takich uczonych jak R. Bacon, Descartes, Kant, Hume, Mill, autor, polemizując z głównemi myślami tych poprzedników, rozstrzyga samodzielnie, dokładnie uzasadniając swoje stanowisko. Podstawą rozróżnienia jest nie sposób w y k r y w a n i a, wynajdywania prawd, pisze autor; „nie droga, po której nauki do nowych twierdzeń dochodzą, lecz sposób ich u z a s a d n i a n i a jest podstawą podziału nauk na aprioryczne czyli racjonalne i aposterioryczne, czyli empiryczne“.

Otóż pierwsze nauki, uzasadniając swe twierdzenia, odwołują się do swych zasad podstawowych drugie zaś odwołują się do doświadczenia.

W dalszym ciągu są artykuły: „Czy człowiek postępuje zawsze egoistycznie“ i „Pesymizm i optymizm“. „Rozprawy“ prof. Twardowskiego stanowią doskonałą lekturę, nie tylko dla specjalistów, ale także dla szerszego ogółu ludzi, interesujących się nauką. Naukowa ścisłość myślenia świetnie tutaj harmonizuje z prostotą i jasnością wykładu.

(td.)

NOWE KSIĄŻKI

P a w l i k o w s k i Michał. Góry i człowiek. Rozdział z historii kultury. Miejsce Piastowe 1939. Wyd. Ligi ochrony Przyrody.

W i e r z y ń s k i Kazimierz. W garderobie duchów. Wrażenia teatralne. Warsz. 1939. Książnica Atlas. Str. 320.

M a l o c c h i Andrea. Żywot chirurga. Powieść. Książnica Atlas.

N a ł k o w s k a Zofia. Niecierpliwi. Powieść. Książnica Atlas.

W o n d r a u s c h o w a Wanda. Radości dziecięce. Wierszyki i obrazki sceniczne dla dzieci. Ilustr. Czaporowskiej Heleny. Lwów 1939. Nakładem księg. Krawczyńskiego. (W oprawie).

W o n d r a u s c h o w a Wanda. Obrazki sceniczne dla teatrów dziecięcych. Tamże.

D y g a s i ń s k i Adolf. Pisma t. 14 i 15. Pan Jędrzej Piszczalski. 2 tomy. Warsz. Bibl. Polska.

POKŁOSIE

KNEDLE ZEMSTĄ

WŁADZĘ się winno sprawować. Poprostu. A tymczasem często się ją celebruje. Zwłaszcza w państwach o t. zw. „ustroju autorytatywnym”, to znaczy takim, gdzie o popularności decyduje ilość wypalonego kadzidła. Dlatego też tam, gdzie przymiotnik „autorytatywny” zmienia się na „totalistyczny”, sprawowanie władzy urasta do formy jakiegoś solennego nabożeństwa. Nabożeństwo — wiadomo — nie znosi śmiechu. Dlatego poczucie humoru znajduje się na indeksie. Dzieje się to, zresztą, z oczywistą szkodą dla rządzących.

Obecnie Europa, mało — świat cały, podaje sobie z ust do ust „kawały” o III-ej Rzeszy. Zrozumiała. Spróbujmy się przez chwilę zastanowić, który z nich jest najpopularniejszy. Odpowiedź nietrudna. Bezwzględnie ten, który opisuje scenę w berlińskim sklepie z żywnością.

Do sklepu wchodzi Niemiec.
— Heil Hitler!
— Heil Hitler!
— Jest masło?
— Niema.
— Jest słonina?
— Niema.
— Heil Hitler!
— Heil Hitler!

Charakterystyczne jest nie tylko to, że ten właśnie „kawał” jest najpopularniejszy, ale także i to, że był on pierwszym „kawałem”, który obiegł glob ziemski na temat Niemiec.

W świetle tego faktu bardzo przykro wyglądają nie Niemcy, ale, chichocząca na temat zamiany tłuszczów na działa i czołgi, Europa. Niejednokrotnie czytało się i czyta w pismach korespondencje z III-ej Rzeszy, utyskujące na brak za naszą zachodnią granicą porządnego żarcia. „Nie to co u nas!...” — Powrót żartu obżartucha z epoki saskiej podśmiewającego się ze skąpego Fritza mustrującego wciąż i wciąż żołnierzy. Tylko i wyłącznie. W teatrze poczdamskim żołnierze nawet statystowali w teatrze! Nie tak jak u nas, gdzie sami żołnierze dobre teatrum stanowili... Dzisiaj, chwała Bogu, armię mamy wyborową, to też wolno nam wyrzekać, bez szkody własnej, na dawne „dobre” czasy.

Współczujemy obywatelom III-ej Rzeszy, że im Rzesza owa nie pozwala na pisanie satyr i żartów, stokroć jednak więcej współczujemy Europie, temu światu, co to ów żarcik na temat braku masła i słoniny, ujętego w klamry pozdrowienia dla „Führera”, uważa za najbardziej godny śmiechu Pozdrowienie dla wodza, który odmówił narodowi okrasy dając w zamian armię budującą potęgę ojczyzny, jest przejawem upowszechnienia heroizmu. Specyficznego może, prusackiego, obcego zapewne nam etyką, niemniej jednak heroizmu. Tu przy starce, tam przy burgundzie, ówdzie zaś przy „whisky”, tu pod bigos, tam pod ostrygi, ówdzie zaś pod rozbef: dobry koncept, na temat lichej zakąski pod bawarskie piwo... I tak zmaterializowana Europa w dosycie widząca urok życia śmieje się również bez poczucia humoru, tak — bez poczucia humoru — na temat, z którego się właśnie śmiać nie powinno.

Baldur von Schirach, „baldurzący” o „duszy wodza zaklętej w kamienie”, naturalistycznie „odrobione” obficie-„kształtne” *die Frauen* „germańskie”, jako ideał narodowej rzeźby, tysiące mundurów marszałka Goeringa, podkasane spodenki „*Hitler-jugend*”, instynktownie zachowane jako wyraz nieco zboczonych niemieckich instynktów, obawa przed dowcipem clownów, których aż izolowano w Dachau i tyle, tyle innych tematów — nadaje się do rzetelnej, ostrej satyry. Ale ów najpopularniejszy dowcip krążący po świecie! — nie. Jeśli Europa dalej będzie się zeń zaśmiewała, wojska niemieckie posuwać się będą również dalej, no a tego nikt chyba nie chce.

Dr. Benesz także zapewne śmiał się, gdy mu opowiadano krótką rozmowę w sklepiku spożywczym, zaczętą i zakończoną pozdrowieniem „Führera”. I dr. Hacha też się pewno śmiał. W rezultacie i jeden i drugi hańbiąco skapitulował, rezygnując z narodowego honoru na rzecz spokoju, materialnego dosytu. Armia niemiecka wkroczyła do Pragi. I oto — jak donoszą korespondenci — Czesi z pogardą patrzeli, jak żołnierze i oficerowie niemieccy dobrali się z miejsca do barów. Z pogardy Czechów, jaką darzyli zwycięzców, zajadających knedle i popijających piwo pilzneńskie, nawet śmiać się nie należy — zbyt tragiczne. Knedle zemstą! — toż to już szczyt upadku.

Niemcy jedli — a jakże! I będą jedli — a jakże! Dopóki ich kto nie przepędzi. Niemcy pili „Pilznera” — a jakże! I będą go pili — a jakże! Bo Pilzno leży już w granicach III-ej Rzeszy. Także, dopóki ich kto nie przepędzi.

Na szczęście ci, którzy u nas o koncepcie na temat masła i szmalcu opowiadają sobie przy starce, należą przeważnie do tych, co to bigos jadają jedynie dla manifestacji. Że niby sobie nic, ale to literalnie nic z przepisów swego zakonu nie robią, że zasymilowani zupełnie, co do joty. Czasami także i ci, którzy pragną uchodzić za zasymilowanych do pozorujących zasymilowanie. Taki dziwny snobizm. Najdziwniejszy. My — rdzenni Polacy wszyscy tkwimy tradycjami w roli — umiemy ziarna oddzielać od plew.

Nas nikt nie ma potrzeby uczyć heroizmu. Z szacunkiem najwyższym słuchamy np. zawsze opowiadań o bohaterstwie Japończyków, ale nie z jakimś znowu specjalnym podziwem, skoro w historii własnej posiadamy Karlińskich, oraz obrońców Głogowa strzelających do synów zdradziecko przez Niemców na pociski ojców wystawionych. (Po okresie Głogowa — przypominamy — nastąpiło „Psie Pole). Ale właśnie dlatego, że sami zdajemy sobie dobrze sprawę z treści słowa heroizm, mamy szacunek dla postawy heroicznej nawet najbardziej zaciekłego wroga; wiemy, z czego się śmiać, a z czego nie.

„Śmiech to zdrowie” mówi przysłowie, nie tylko jednak o zdrowiu świadczy — o jakości kultury również.

— „Dobry żart, tynfa wart” — mówi inne przysłowie. Nieraz więcej aniżeli tynfa. Cenę żartu potrafimy jeszcze ustalić — t. zw. ustrój autorytatywny znany jest dopiero lat kilkanaście. Za skórę zalazł już niejednokrotnie, ale w krew jeszcze wejść nie zdołał.

J. Ba.

NA MARGINESIE

W naszem odbudowanem państwie fałszywa ambicja robienia za wszelką cenę inaczej, niż robili poprzednicy, odegrała niemałą rolę. Wysilano się nie raz na to, żeby polityka państwa polskiego miała jak najmniej podobieństwa do polityki Komitetu Narodowego w Paryżu, żeby szła innemi drogami, nawiązywała inne sojusze, inaczej nawet samą Polskę pojmowała. Nie zdawano sobie sprawy z tego, że to nie są rzeczy dowolne, które każdy może pojmować po swojemu, że naród nie ma dziesięciu polityk do wyboru. Rzeczywistość jest jedna i jedna tylko może być w głównych liniach polityka narodu, która z rzeczywistością się liczy.

ROMAN DMOWSKI

(„Polityka polska i odbudowanie państwa“)

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI.

Druk. SPOŁECZNA, Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.